

**Ewa Nowak**

## **OPOWIEDZ MI O SWOICH NARZECZONYCH**

(fragment powieści *Lawenda w chodakach*)

Dwie godziny snuli się po labiryncie czerwono-pomarańczowych skał, robiąc sobie zdjęcia we wszelkich możliwych miejscach i pozach.

W końcu usiedli w głębokim cieniu, zmęczeni zwiedzaniem i słońcem. Wyciągnęli z plecaków wodę, którą przezornie zabrali ze sobą, i zaczęli gadać. Jednak rozmowa nie kleiła się. W końcu odezwała się Magda.

— Kuba, opowiedz nam o swoich narzeczonych.

Wszyscy wbili spojrzenia w zmieszanego Kubę.

— O nie! Nie dam się sprowokować.

— Daj, daj.

— Naprawdę chcesz wiedzieć? — zdziwiła się Damroka.

— Pewnie. Świadomi żyją dłużej. To mój ulubiony temat. Kuba zresztą pięknie opowiada.

— Nie mam nic ciekawego do opowiedzenia.

— Czyżby? Nie miałeś ślicznych, zgrabnych, superinteligentnych dziewczyn? — Magda wyraźnie znęcała się nad nim.

— Nie. Wszystkie były brzydkie, głupie i nieciekawe.

— To pięknie pasowaliście do siebie — mruknął Wiktor.

— A może ty, Wiktorku, coś nam opowiesz?

— Nie mam nic do powiedzenia. Nie miałem dziewczyny przed Damroką.

— No, to jest się czym chwalić! — zdenerwował się Kuba.

— I tak oto dotykamy ciekawego tematu: czy lepiej, zanim, oczywiście, znajdzie się miłość swego życia, mieć już kogoś, czy lepiej nie mieć?

— Lepiej mieć.

— Lepiej nie mieć — jednocześnie odpowiedzieli Kuba i Wiktor.

Zaczęli roztrząsać wszystkie za i przeciw tak zwanego wyszumienia się.

— Ja... zgadzam się z Magdą... Znów ten wzrok... No dobrze, nie zgadzam się z Magdą.

— Kuba, zauważ, że ja jeszcze nie powiedziałam swojego zdania.

— To powiedz. Ja się z nim nie zgodzę i będę miał święty spokój.

— Ci znowu swoje. Wiktor, a ty trochę żałujesz, że przede mną nie było nikogo?

— Żałuje. Żałuje, i to bardzo; ciągle mi płacze w śpiwór. — Kuba usiłował odwrócić uwagę od siebie.

— A ty, Roczku, opowiesz nam o swoich narzeczonych? — zwróciła się Magda do Damrocki, częstując gumą do żucia bez cukru.

— Miałam dwóch. Jednego w podstawówce, mieszkał w bloku obok. Jego mama była trenerem minibasketu, a ja to trenowałam. To był głęboki związek. Polegał na wpisywaniu jego inicjałów do złotych myśli. Dostałam od niego walentynkę z czterema błędami ortograficznymi, w tym jednym we własnym imieniu. Nazywał się Artur. Drugiego narzeczonego miałam w gimnazjum. Łączyły nas, no... wiele nas łączyło.

— Co na przykład?

— Wspólne problemy. Jego ojciec był marynarzem; taki sam krzyż pański jak z moim. Poglądy. Dobrze nam się gadało. Nie będę teraz mówić, że był głupi i nic niewart tylko dlatego, że nic z tego nie wyszło. To dobrze, że nie wyszło, ale i tak nie zapomnę mu tego, co dla mnie zrobił.

— A co on takiego dla ciebie zrobił? — zirytował się Wiktor.

— Lubił mnie, akceptował mnie, no i był moim chłopakiem w czasach, gdy byłam grubsza niż wyższa i miałam jednego wielkiego pryszcza zamiast cery. On się mnie nie wstydził, chociaż ja sama wstydziłam się siebie.

Wiktor delikatnie wziął rękę Damrocki i zamknął w dłoniach.

— I co?

— Nic. Skończyło się i tyle. Gdzieś tam wyjechałam z ojcem i mamą, a jak wróciłam, to już nie było to. Po prostu i zwyczajnie. A ty, Madziu, opowiedz nam o swoich narzeczonych.

— Chcesz tak ogólnie czy raczej ze szczegółami?

— Zdecydowanie ze szczegółami.

Cała trójka przysunęła się do Magdy. Przechodzący koło nich pomarańczową ścieżką ludzie nie rozumieli ani słowa i dlatego Magda tak swobodnie mogła opowiedzieć im o swoich narzeczonych.

— Zanim zaczniesz, chciałbym coś powiedzieć — wtrącił Kuba. — Zawsze myślałem, że polski to beznadziejny język — zaściankowy i w ogóle. Marzyłem, że w Polsce mówi się po angielsku albo po francusku, albo po niemiecku i już nie trzeba się uczyć tych języków. A teraz po tych kilku dniach widzę, że jesteśmy niesamowitymi szczęściarzami. Możemy sobie w środku

Europy, w rezerwacie przyrody, w cieniu stuletnich drzew swobodnie rozmawiać, o czym tylko nam się chce, i nikt, kompletnie nikt tego nie rozumie.

— Jacek na pewno by się z tobą zgodził.

— Na pewno, ale zwracam ci uwagę, że już tak kilka razy miało być, że Polacy mieli mówić w jakimś obcym języku. To się nazywa wynarodowienie, Kuba — wyjaśniła Damroka.

— Cóż za nagła solidarność — zachnęła się Magda. — Widzę, że wspólnie chcecie tak taktownie, żeby mi nie było przykro, odejść od tematu, bo sądzicie, że jest dla mnie drażliwy. A co, myśleliście, że jak jestem kaleką, to nie mam życia uczuciowego?

— Nie, skąd! Dlaczego?

Wszyscy zasypali ją zapewnieniami, ale poczuli się głupio, że tak łatwo ich zdemaskowała.

— Miałam raz chłopaka, tylko on o tym nic nie wiedział. To było w Szwajcarii, w sanatorium. Był Tyrolczykiem. Prawdziwym. Nie przeczę, że moja znajomość niemieckiego jest po części jego zasługą. Wkuwałam po nocach słówka i gramatykę, żeby mu nie dukać, tylko płynnie i precyzyjnie wyrażać swoje myśli, które oczywiście jednocześnie chciałam przed nim ukryć. On lubił malarstwo. Pewnie się już domyśliliście, że wiedza z tego tematu była mi potrzebna do olśnienia go. Widzieliśmy się codziennie. Przychodził do nas do pokoju, do mnie i koleżanki. Był bardzo miły. Pomagał mi ćwiczyć. Osiem godzin ćwiczeń na twardych ławkach, potem rozciąganie, basen... Ludzka wyobraźnia nie zdołałaby wymyślić dla dzieciaków takich tortur, gdyby nie działały się naprawdę... On miał uszkodzony kręgosłup. Rozumiecie — dwie kaleki. To logiczne. Takie odpowiednie. Takie kompatybilne. Byłam pewna, że cały świat nas poprze. Co się tak gapiacie? Czekacie na pointę, tak? Pointa jest taka: ta koleżanka z pokoju, wspomnę tylko, że nie odróżniała malarstwa od rzeźbiarstwa, zaszła z nim w ciążę. Urodziła córeczkę. Zdrową, śliczną Miję.

— Co?

— W ciążę. Duży brzuch, poród, dziecko. Nie wiesz, co to jest ciąża, Kubeczku?

— Jak to zniosłaś?

— Jej ciążę? Wymiotów w każdym razie nie miałam i nie utylałam przesadnie. A tak poważnie — nijak. Udawałam, że bardzo się cieszę, że życzę im wszystkiego najlepszego, co zresztą było prawdą. Życzyłam im wszystkiego dobrego i jednocześnie ich nienawidziłam, bo to wcale nie jest sprzeczne. Za ambitna jestem na jakieś rozmazanie, i to publiczne. A po nocach obgryzałam pazury do krwi.

— A to bydlę.

— O nie. Mówisz tak, ale nie wiesz wszystkiego. On mi nigdy nie mówił, że mnie kocha, że mu się podobam, nie padły żadne zaklęcia. On mnie po prostu lubił. Był zwyczajnie miły, ale głupiej młodej dziewczynie to wystarczy. Resztę dośpiewa sobie sama. I ja tak zrobiłam. Chcia-

łam, tak bardzo chciałam się zakochać i się zakochałam. Moja siostra jest teraz w takim momencie życia — koniecznie chce się w kims zakochać. Nie zważa na to, że obiekt jej zainteresowań nie jest nawet miły. Ona sama tworzy fikcję, która dla niej jest najbardziej realnym realizmem. Ale wracajmy do mnie: miał na imię Nick. Gdy słyszałam to imię, serce biło mi mocniej. Ale on mnie nie zranił. To moja własna głupota zadała mi tyle bólu. Widziałam coś, czego nie było. Koniec opowieści. Idziemy dalej.

Magda zerwała się z miejsca. Niestety, ze zdenerwowania albo może wzruszenia źle stanęła i przewróciła się na pylistą ścieżkę, co zostawiło czerwony ślad na jej ubraniu. W milczeniu pomogli jej wstać.

— Siadajcie, na pewno teraz nie ruszę się z miejsca.

Siedzieli w milczeniu. Z wolna docierała do nich szczerota Magdy.

— Wiecie co? Z tym moim drugim narzeczonym to niezupełnie tak było — zaczęła Damroka.

— Nie musisz niczego mówić — zaznaczył Wiktor.

— Możecie nie słuchać, jeśli nie chcecie. Idźcie się przejść po okolicy, a ja w tym czasie opowiem to temu krzaczkowi. Wygląda na dobrego słuchacza. Muszę to komuś wreszcie powiedzieć. Magda powiedziała i nie umarła, to i ja nie umrę. Widzę, że zostajecie. Więc któregoś razu moja mama załatwiła nam taką dodatkową pracę — wywiady z osobami o wybitnym ilorazie inteligencji.

— Aż dziwne, że mnie nie odwiedziliście. — Kuba zamrugnął rzęsami.

— Też się dziwię. Ale to były osoby powyżej sześćdziesiątego roku życia, Kubeczku. Badania miały stwierdzić, czy ludzie o takim IQ osiagają w życiu sukces.

— Po co robić badania? Wiadomo, że to jest niezależne — wtręciła Magda.

— Nie przerywaj, tylko słuchaj. Ja ci nie przerywałam.

— Prawda. Przepraszam.

— I raz byliśmy u pani mecenas. Wielki dom, ale przytulny. Mnóstwo kotów. Ja, to fakt, byłam wtedy zapuchnięta od płaczu i gruba jak dwie beczki i ta kobieta spytała go: „To twoja dziewczyna?”. — Damroka zacisnęła usta i widać było, że się waha. — On nie spojrział na mnie, tylko jakoś tak przed siebie i powiedział: „Nie, to koleżanka”. Koleżanka. — Damroka zaczęła płakać. — Wstydział się mnie. Wstydział. Nie chciał mieć takiej ogromniastej dziewczyny i ja mu się nie dziwię. Kurczę blade, nikt nie ma chustki? Co z was za kumple, że nawet głupiej chustki człowiekowi załujecie?!

Przyjaciele wyciągnęli do niej ręce z chusteczkami.

— Damroka, ty czujesz się gruba?

— Pewnie.

— Ale wiesz, ty wcale nie jesteś gruba!

— Łatwo ci mówić. Jesteś chuda jak patyk.

— Cóż za uroczy komplement. Kuba, co się tak wiercisz?

— Tego... hm... ja... Wiecie... o tych dziewczynach... Bo jakoś tak pierwszy miałem mówić i wtedy nie było nastroju. Ja zawsze źle wybierałem. Stosowałem złe kryteria.

— Ładny biust, długie nogi, zniewalający uśmiech. Moim zdaniem to są całkiem dobre kryteria — podsumowała Magda i uśmiechnęła się.

— Udam, że nie słyszę złośliwości w twoim głosie. Nie, to nie są dobre kryteria wyboru. A wiecie, co jest tym właściwym kryterium? Nie wiecie? To ja wam powiem: rozmowa. To się liczy. Jak z kimś nie możesz gadać godzinami, to nic z tego nie będzie. Ciało w ogóle się nie liczy.

— Ciało się nie liczy? — syknęła Magda — W takim razie proponuję, Kubeczku, żebyśmy przeszli na znajomość korespondencyjną.

— Dlaczego się zdenerwowałaś? Dziewczyny uwielbiają, gdy się im wmawia, że umysł jest najważniejszy.

— Kuba, czy ja ci się nie podobam?

— Podobasz, i to bardzo.

— To co mi tu gadasz, że ciało się nie liczy, jakbyś przekonywał sam siebie. Jak ktoś nerwowo zapewnia, że wygląd nie jest istotny, to albo ma straszne kompleksy, albo nienawidzi... Przepraszamy was, ale teraz z Kubą będziemy się kłócić. Zajmie nam to około dwudziestu minut.

— To my pójdziemy na lody. Widziałam lawendowe przed wejściem. Chodź, Wiktor. Mamy dwadzieścia minut wolnego. Od tego płaczu chce mi się jeść. — Damroka wsunęła sandały na wybrudzone pomarańczowe stopy, objęli się z Wiktorem i skierowali ku wyjściu.

Kupili lody lawendowe. Wyglądały intrygująco, ale w smaku były obrzydliwe. Mdłe, bez wyrazu, przypominały zamrożone mydliny. Jacek dokuśtykał do nich, kiedy zastanawiali się, czy ich nie wyrzucić.

— Jecie to świństwo? Ohyda, prawda? Tu w ogóle nie wiedzą, jak powinny smakować lody. W moich stronach w Gorlicach na rynku to są lody! Orzechowe w trzech smakach: laskowe, włoskie i ziemne. A każde genialne. A cytrynowe... marzenie! I to samo w Sopocie na Monciaku u Włocha. Tam mają takie limonkowe, że... wyrzucacie to świństwo? To dajcie, ja dokończę.